

NASZYTYGODNIK

DODATEK Nr 31 do Nr 190 (296) "KU WOLNEJ POLSCE"

9 SIERPNI 1941r

M Y I A N G L I C Y

W POLSCE przed wojną mało wiedzieliśmy o Anglii i mało nas ona interesowała. Poproście aż śmiesznie dzisiaj przypomnieć, jak zakres tych wiadomości o Anglii był skąpy. Poza kilku tysiącami bowiem tych najinteligentniejszych Polaków, dla których Szekspir powiedzmy, był niewysychającym źródłem kontaktu z literaturą angielską, z duchem angielskim, którzy jak Roman Dyboski należeli do największych znawców Anglii na kontynencie - przeciętny inteligent w Polsce cóż wiedział o Anglii: wstyd nawet powiedzieć.

Wiedzieliśmy więc, że dzieci podwórz warszawskich chorują na chorobę angielską, że kilkuset naszych arystokratów hoduje dla wyścigów konie angielskie, ludek warszawski wiedział specjalnie co to jest derby angielskie, wiedzieliśmy co to jest angielska flegma, no i wreszcie piliśmy w Polsce całej jak długa i szeroka dużo angielskiej herbaty. I może właśnie ta herbata najbardziej nas zbliżała do Anglii przypomnieniem, że pochodzi ona z kolonii angielskich, i że Wielka Brytania jest pierwszym Imperium świata.

Ale Polakom mało co imponuje. A nawet jeśli imponuje, to nie lubią się do tego przyznawać i z przekory raczej odwracają się do imponującego obiektu plecami. Tak i z Anglią. Odwracaliśmy się do niej plecami przez cały szereg wieków. Nie znaliśmy jej i nie interesowała nas ona. Może naród przez wieki odwrócony plecami do morza i nie doceniający jego znaczenia dla życia - nie docenialiśmy i nierozumieliśmy tego narodu morskiego narodu żeglarzy i wilków morskich, narodu który dzięki wielkim szlakom morskim zrobił sobie z całego świata ojczyznę.

Wychowani na kulturze francuskiej, rozmiłowani w emanacjach ducha francuskiego, widzieliśmy we francuskiej literaturze, teatrze, sztuce, najwyższe osiągnięcia ducha ludzkiego. Lekkość francuska, humor, paradoks, gra słów - oto co nam odpowiadało i z ducha i z temperamentu życiowego. I nic to, że te źródła sympatii profrancuskich w Polsce coraz bardziej stawały się

plytkie, że operetka i farsa francuska spychała na drugie miejsce dzieła klasycznego repertuaru francuskiego, że Flers i Caillavet wypierali powoli ale pewnie Moliera i Racin'a, że pornograficzny romans francuski panoszył się na rynku księgarskim w Polsce - myśmy krzyczeli: Vive la France! I znaleźliśmy Francję, interesowaliśmy się nią, lubiliśmy i nawet wydawało się nam żeśmy ją ... rozumieli!

Ale ta nasza znajomość Francji była bardzo powierzchowna. Poproście sprowadzała się ona do znajomości międzynarodowych dzieł Paryża i również międzynarodowej Rivieri francuskiej. Ale już prowincja francuska była dla nas czemś zupełnie nieznanym. Ale naród francuski, ten szary tłum francuski i to czem żył ten tłum, na co reagował i dlaczego tak a nie inaczej reagował, co kochał i ku czemu dążył - było dla nas Polaków zupełnie terra incognita. Jak mało znaleźliśmy Francuzów okazało się to dopiero w obecnej wojnie. Trzeba było aż tak wielkiej katastrofy dziejowej, aby poznać - czem jest Francja.

I trzeba było aż tak wielkiej katastrofy dziejowej, abyśmy my Polacy poznali czem jest Anglia! I czem jest naród angielski!

Klęska wrześniowa otworzyła nam oczy na Anglię. Ale dopiero klęska Francji w czerwcu 1940 - otworzyła nam nie tylko oczy ale i serce dla naszego wielkiego sojusznika, jakim okazał się naród angielski dla narodu polskiego. Ten mało nam znany naród, który darzyliśmy raczej teoretyczną sympatią i uznaniem, ten zimny i wyniosły naród angielski - stał się jednego dnia najbliższym nam na świecie narodem, stał się jedynym gwarantem naszej niepodległości i wolności. Każdy z nas Polaków zrozumiał, że gdyby po klęsce francuskiej Anglia pozostawiona sama sobie, zgodziła się na tyle razy proponowany przez Hitlera pokój - los Polski i narodu polskiego były przesądzone.

Ale naród angielski aczkolwiek nieprzygotowany do tej strasznej wojny, okazał się narodem wielkim, który podjął dalszą walkę o wielkie ideały

ludzkości: o wolność narodów ujarzmionych i o prawo. Walkę o zwycięstwo nad współczesnym atyllą. Walkę o wolność Polski!

Deszcz ognisty spadł wówczas na Anglię. Poczęły padać w gruzy i płonąć miasta angielskie. Wspaniałe zabytki Londynu niszczyła barbarzyńska ręka germańskiego lotnika. Ale twardy i zdecydowany na wszystko naród angielski nie złamał się psychicznie pod pod srogimi ciosami jakie dzień w dzień i noc w noc wymierzała mściwa ręka śmiertelnego wroga. Naród angielski zaciął się i trwał w swej wspaniałej postawie jako obrońca godności i honoru ludzkiego. Naród angielski uratował honor ludzkości.

Polacy, którym można wiele zarzucić, prócz jednej rzeczy, że kochają wolność i że umieją bić się w obronie tej wolności - potrafili więcej niż kto inny ocenić i zrozumieć bohaterki wysiłek narodu angielskiego. Obrona osaczonej Warszawy i fakt, że katowany codziennie przez grabieżców naród polski nie wydał z siebie ani Hachy ani Quislinga - dają nam moralne prawo mówienia z narodem angielskim jak równy z równym, dają nam prawo do uważania się za pierwszego i w gruncie rzeczy jedyne go sojusznika Anglii, który był, jest i pozostanie jej wierny. Naród angielski stał się najbliższym nam narodem.

To nakłada obowiązki. Nasi żołnierze walczący w Anglii, nasi piloci czy marynarze, nasi uchodźcy wreszcie któ-

rzy znaleźli się na ziemi angielskiej - rozumieją to dobrze. Samorzutnie zupełnie usiłują oni uzupełnić te braki wiadomości o Anglii jakie wynieśli jeszcze z Polski. Uczą się więc języka angielskiego, którego ^{nie} znajomość w Polsce była nagminna. Uczą się historii i geografii angielskiej. A przede wszystkim uczą się tego co stanowi podstawę wielkości narodu angielskiego: budować swą miłość do Ojczyzny na miłości do człowieka.

Jeszcze wiele mamy w tym kierunku do zrobienia. Jeszcze wiele rzeczy wydaje się nam w narodzie angielskim niezrozumiałe. Jeszcze wiele cech narodowych angielskich jest dla nas obcych. Jesteśmy narodem obdarzonym dużym polotem i temperamentem - powolność i pewna suchość angielska często nas razi. Nie ulega wątpliwości że i Anglików razi i zniechęca do nas wiele rzeczy, że i Anglicy wiele rzeczy jeśli chodzi o Polaków nie rozumieją. Lecz są to wszystko sprawy drugorzędne, nieistotne, przejściowe - które wyrówna czas i wspólna z Anglikami walka i praca nad budowaniem lepszej przyszłości. W wojnie obecnej stwarza się mocniejsze od wszystkiego braterstwo przelanej krwi. A przecież nic nie wiąże ludzi i narody mocniej niż krew. Rodzi się wreszcie wzajemny szacunek: rodzi się przyjaźń dwóch narodów, polskiego i angielskiego, które walczą o te same ideały ludzkie.

B. Inf.

D E G A U L L E

GENERAL Charles de Gaulle pochodzi z Lille ze starej rodziny, dobrze znanej w dziejach kultury francuskiej. Nazwisko de Gaulle figuruje także wśród żywotów świętych i męczenników. Ojciec generała był profesorem historii i literatury a dom jego słynął jako centrum intelektualne.

Gdy w całym narodzie nurtowało pragnienie odwetu za Sedan, de Gaulle nie namyślał się nad wyborem zawodu. Dzięki swym nieprzeciętnym zdolnościom, przeszedł szybko przez gimnazjum, uniwersytet i wstąpił do słynnej szkoły wojennej St. Cyr, którą ukończył jako najlepszy uczeń, mając za ledwie 20 lat.

Wybuchła wojna. Porucznik de Gaulle odznaczył się brawurą już w pierwszych tygodniach. Ciężko ranny pod Dinant powrócił na front zanim odzyskał siły. Na wiosnę 1915 r. został powtórnie ranny. Po powrocie ze szpitala, odkomenderowano go do 33 pułku piechoty którym dowodził pułkownik Petain.

Petain od razu ocenił zalety młodego oficera i powierzył mu dowództwo kompanii. Pułk 33 stał wtedy pod Verdun. Rozgorzała najkrwawsza bitwa w dziejach świata. Cały impet armii niemieckiej rozbił się o bezimiennie bohaterstwo kilkuset tysięcy Francuzów. Najzacieklej bronił się fort Douaumont i tam, w okopach bombardowanych bez przerwy, tak z ziemi jak z powietrza, dowodził swą kompanią porucznik de Gaulle. Kilkakrotnie wymieniano jego nazwisko w rozkazie dziennym. Aż pewnego dnia, rażony ciężkim pociskiem artyleryjskim, padł na pół martwy, daleko od swych pozycji. Znalazł go patrol niemiecki i zabrał do szpitala polowego.

Odzyskawszy przytomność, de Gaulle wpadł w rozpacz. Daleko za Renem szalała wojna, jego koledzy bili się za Francję a on leżał schorowany i bezbronny. To było nie do zniesienia. Ledwo odzyskał trochę sił, uciekł. Złapano go od razu. Mimo to ponowił

daremna próbę jeszcze czterokrotnie, chociaż komendant niemiecki stosował coraz okrutniejsze represje w stosunku do niekarnego jeńca. Dopiero zwycięstwo sprzymierzonych przyniosło mu wolność.

Wielokrotne rany i złe traktowanie w niewoli wyniszczyło jego siły, ale de Gaulle nie porzucił czynnej służby. Mimo fatalnego stanu zdrowia, pojechał z gen. Weygandem do Polski w 1920 r. i był najbardziej czynnym oficerem jego sztabu. Po ukończeniu kampanii w Polsce, de Gaulle został mianowany profesorem historii wojskowej w St. Cyr. Gruntowna wiedza i piękny styl prelekcji zdobyły mu odrazu taką sławę, że wkrótce przeniesiono go do Paryża, gdzie w Wyższej Szkole Wojennej wykładał strategię i taktykę. Sztab oceniał jego niepospolite zdolności, ale nie podzielał bynajmniej poglądów na strategię. Totem pod pozorem awansu, zamianowano go adiutantem marszałka Petaina. De Gaulle był uszczęśliwiony, bowiem uwielbiał swego dowódcę z pod Verdun. Niebawem został wysłany do Trewiru z armią okupującą Nadrenię. Na to stanowisko nadawał się doskonale, ze względu na znajomość języka niemieckiego i duże poczucie taktu. W tym czasie wydał swoje pierwsze dzieła: "Na ostrzu szpady" i "Nieżgoda wśród nieprzyjaciół". W roku 1929 wysłano go do Syrii, gdzie przebywał trzy lata w specjalnej misji i napisał wielkiej wartości dzieło "Armia wschodu". Rewelacje majora de Gaulle zaczęły interesować coraz szerzy ogół. Sztab francuski złożony ze starszych oficerów o skostniałych poglądach, nawet nie dyskutował z młodym reformatorem. Ograniczał się do ośmieszania go, za pomocą bardzo złośliwych anegdotek i lekceważących recenzji w prasie. Liczyli na to, że otrzymawszy dobrą posadę i miejsce przy biurku, de Gaulle zamilknie.

Tymczasem stanowisko sekretarza komisji uzbrojenia nie zmieniło jego przekonań. Przeciwnie, wróciwszy do Paryża rozwinął ożywioną działalność. W artykułach publikowanych w prasie, w prelekcjach wygłaszanych w Sorbonie wołał, ostrzegał, prosił, aby nie zamknięto oczu na niebezpieczeństwo. W r. 1934 wydał genialną książkę "Vers l'armée du métier". Wskazuje w niej wszystkie niebezpieczeństwa grożące Francji: słabość polityczną i wojskową Belgii (autor niema bowiem żadnych wątpliwości, że stamtąd przyjdzie atak), brak przeszkód naturalnych, które mogłyby opóźnić pochód nowoczesnej armii, bliskość Paryża od granicy, a utrata Paryża musi mieć fatalne skutki moralne i strategiczne. Linję Maginota nazywają tarczą Francji, ale

czyż to jest tarcza? Równie łatwo ją obejść jak sforsować czołgami. W przyszłej wojnie zadecydują nie fortyfikacje, lecz pancerny i motor. Następnie de Gaulle opisał taktykę wojny ruchowej, jej przebieg i metody, tak dokładnie i obrazowo, jakby ją był widział. Nie poprzestał jednak na ostrzeżeniach. W tejże książce wyłożył cały system obronny przeciw czołgom. Domagał się zmotoryzowania armii francuskiej, wzmocnienia lotnictwa i przeobrażenia systemu defenzywnego na ofenzywny. Dowodził, że tylko odpowiednia ilość czołgów, współdziałających z bombami może skutecznie odeprzeć atak pancernych dywizji niemieckich. "Zwycięstwo jednej ze stron, biorącej udział w walce, jest zawsze tylko matematycznym wynikiem przygotowania do wojny. Ani bohaterstwo jednostek, ani improwizacja, nie mogą wyrównać zaniedbań w tej dziedzinie. Czemuz sztaby generalne, zamiast uczyć się tej prawdy z historii całego świata, wołają po każdej klęsce czytać ją we łzach zwyciężonego narodu?"

Książka de Gaulla nie zainteresowała szerszych kół czytelników. Nieliczne komentarze, które się ukazały były ironiczne, sugerowały autorowi bujną imaginację i nieuctwo. Jedynie Paul Reynaud w parlamencie domagał się reorganizacji armii. De Gaulle znowu na krótko objął katedrę strategii w wyższej szkole wojennej, ale sztab miał go dosyć. Posłano go do Metz, by tam dowodził zmotoryzowanym pułkiem, byle dalej od Paryża. Pułkownik siedząc nad samą granicą widział przygotowania z tamtej strony Renu i ogarniał go coraz większy niepokój...

Tymczasem pisał książkę "Francja i jej armia", dedykowaną marszałkowi Pétain. Książka ta jest arcydziełem pod względem formy i treści. Z każdej stronicy przebija głęboka wiedza autora, zdrowy krytycyzm a jednocześnie waruszający patriotyzm. Zaletą książki jest przepiękny język. Opisy walk pod Verdun o niesłychanym napięciu dramatycznym, nadają się nie tyle do czytania, ile do deklamacji, jest to bowiem wspaniała proza poetycka, rytmiczna i dźwięczna. Ale nigdy de Gaulle nie robił najmniejszej aluzji do swych zasług, męstwa na placu boju ani wybitnych zdolności umysłowych. Był zawsze skromny, i tam gdzie chodziło o jego karierę, nieśmiały.

Z chwilą wybuchu wojny pułk de Gaulle dowodził brygadą czołgów i z rozpaczą śledził przebieg kampanii w Polsce. Najgorsze jego przewidywa-

nią sprawdziły się w całej pełni. W październiku pojechał do Paryża i złożył w sztabie memorandum, gdzie jeszcze raz powtórzył swe ostrzeżenia. Liczył na przychylnie rozpatrzenie sprawy, bowiem jednocześnie z nim gen. Sikorski złożył raport z kampanii w Polsce. "Nieprawdą jest - pisał gen. Sikorski - że armia polska była źle wyćwiczona, źle uzbrojona. Mieliśmy broń i ludzi, tylko Niemcy zaskoczyli nas nowym systemem walki i lotnictwem." Pułkownik de Gaulle namawiał do natychmiastowej ofensywy: "Dajcie mi odpowiednią ilość 100 tonnowych czołgów, podejmuję się sforsować linię Zygfryda, w każdym miejscu, które uznacie za korzystne dla ataku. Przyjdzie chwila, że Niemcy pogwałcisz neutralność Belgii i Holandii, uczynią to samo we Francji, czego byliśmy świadkami w Polsce. Memoriał rzucono do kosza, zaś de Gaulle'a nazwano intrygantem, bowiem twierdził, że dłuższy pobyt w linii Maginota demoralizuje żołnierzy. A nikt nie był tak daleki od intryg, jak właśnie on, który zawsze odpowiadał "tak" lub "nie", nigdy "może", nie znosił kompromisu; a gdy po klęsce, niektórzy starali się podnosić korzyści, wyniki dla Francji z zawieszenia broni, generał odpowiedział przez radio, swym dźwięcznym pełnym bólu głosem: "Wiem tylko, że nieprzyjacielem jest w Paryżu, w Bordeaux, w Lille, w Reims i w Strasburgu..."

W chwili rozpoczęcia ofensywy niemieckiej, Francja posiadała zaledwie 3 dywizje pancerne i brygadę płk. de Gaulle'a. Dzielnym dowódcą powyciągał czołgi z muzeów, zwykłe ciężarowe auta uzbroił w lekkie działa polowe, i na czele tej przedziwnej dywizji, zniszczył dywizję pancerną nieprzyjaciela, odebrał ważny węzłowy punkt Montcornet, gdzie trzymał się przez dwa dni, dezorganizując tyły Niemców i uniemożliwiając im posuwanie się dalej. Żołnierze go ubóstwiali. Weygand wymienił w rozkazie dziennym, nadał mu wysokie odznaczenie i awans. Tymczasem sytuacja na froncie była coraz gorsza. Czołgi niemieckie zbliżały się pod Abbeville, zagrażając stamtąd wszystkim portom la Manche. W krytycznym momencie sztab przypomniał sobie oficera, z którego wymienił się przez tyle lat. Czwarta dywizja nie posiadała jednolitego sprzętu, ani wyszkolonego żołnierza, ale miała genialnego dowódcę. Kontratak francuski był niezwykle gwałtowny. Czwarta dywizja wdarła się w głąb linii niemieckich na głębokość 15 km. siejąc śmierć i spustoszenie, biorąc

tysiące jeńców i ogromny łup. Abbeville było uratowane. To wspaniałe zwycięstwo, jedyne w czasie całej kampanii, napełniło otuchą Francję i sprzymierzeńców. Impet niemiecki zdawał się być powstrzymany. Tylko gen. de Gaulle wiedział, że sam nie utrzyma się długo w Abbeville, i naglił o posiłki, które nie nadchodziły. Za to przybył goniec, wzywający generała natychmiast do Paryża. De Gaulle stanął przed premierem Reynaud. "Postanowiliśmy zrobić pana wice-ministrem wojny - mówił premier - czy pan się zgadza?" "Tak, jeśli dobro Ojczyzny tego wymaga. Ale uprzedzam, że jestem zwolennikiem walki do końca." "I ja też" - odparł Reynaud. "I trzeba koniecznie bronić Paryża" - nalegał nowy wice-minister. Weygand i cały sztab zaprotestowali. "Powierzcie mi obronę stolicy" - powiedział de Gaulle. Patrzył z przerażeniem na defetyzm oficerów sztabu i moralne załamanie się Weyganda. Nawet jego przyjaciel Reynaud zaczął tracić wiarę. Młody generał ujrzał w oczach swych kolegów nieuniknioną klęskę.

Przyszła katastrofa. Największe autorytety i symbole narodowe zawiodły. Petain, Weygand, cała Francja przekreśliła swoją chwalebna przeszłość, pociągnięciem pióra w Compiègne. Świat zwątpił w odwagę, szlachetność i wierność. Wtedy na fali Londynu dał się słyszeć niski, dźwięczny głos. "Zawieszenie broni jest niezgodne z naszym honorem, bośmy dali słowo aliantom, niezgodne z naszym interesem narodowym i ze zdrowym rozsądkiem, bo wojna nie jest jeszcze przegrana. Zawieszenie broni jest hańbą. Francja, ta prawdziwa Francja nie złoży broni. Płomień naszego oporu nie zgaśnie. Stworzymy nową armię, będziemy walczyć u boku naszych sprzymierzeńców aż do zwycięstwa. Ja, generał de Gaulle podejmuję się tego dzieła."

Francja odpowiedziała na apel. Młodzież tłumnie uciekała do Anglii, słuchając płomiennych przemówień wodza. "Oficerowie, podoficerowie, żołnierze, moi koledzy, gdziekolwiek jesteście, waszym obowiązkiem jest połączyć się z nami. Chodźcie do nas, nie obiecujemy wam nic innego, tylko to, że będziecie mogli walczyć za Ojczyznę i że wasze ręce oddamy nasz niesplamiony sztandar." Obudziło się co było najlepsze w narodzie. Miecz upuszczony przez sędziwego marszałka podjął prawdziwy zwycięzca z pod Verdun. Sąd polowy w Vichy skazał go na śmierć i degradację za dezercję i

zdradę. Oficerom i żołnierzom wolnej Francji grozi utrata obywatelstwa, konfiskata dóbr i prześladowanie rodzin. Jakby nie było dość tej ofiary, większość oficerów wyrzekła się poborów, nie chcąc brać pieniędzy za służ-

bę dla Francji. Taki jest duch w armii gen de Gaulle, bohatera, który gdyby go słuchano, mógłby ocalić Ojczyznę od klęski, ale zdołał ją sam jeden ocalić tylko od hańby.
(B. Inf.)

" V "

W DZIĘDZINIE dobrojenia moralnego i psychicznego rozpoczęła się niezwykle oryginalna i zapowiadająca świetne wyniki, a w dużej mierze już nimi uwieczniona akcja propagandowa na olbrzymią skalę.

W niedzielę 20 lipca br. na murach Londynu pojawiła się litera " V " jako początkowa litera słowa "victory" - zwycięstwo. Ten symbol przyszłego zwycięstwa Anglii i jej sprzymierzeńców, zarysowującego się w dalekiej jeszcze, lecz coraz wyraźniejszej perspektywie, huraganem obiegł i podbił olbrzymie miasto. W kolei podziemnej, tramwajach, autobusach, na samochodach osobowych i ciężarowych, ukazała się tajemnicza, w lot przez wszystkich zrozumiana, z aplauzem witana litera - przyjęły ją w okamgnieniu dworce kolejowe, kasy biletowe teatrów, kin, kolei, restauracje, bufety. Zjawiała się na tablicach i słupach reklamowych, na placach, ulicach, wystawach sklepów, na bramach domów prywatnych, urzędów, banków, w miejscach nieprzystępnych dla reklamy, Gazety umieściły znak "V" na naczelnym miejscu. Zwycięski pochod symbolu nabrał charakteru żywiołowego odruchu.

Znak przyjęło radio brytyjskie. Po nadaniu uderzeń dzwonu "Big Ben" z wieży "Westminster'u" o północy zagrzmiął w głośnikach werbel bębna, a na jego tle znak "V" z alfabetu telegraficznego Morse'a. Autorem świetnego pomysłu wprowadzenia do audycji radiowej zwycięskiego znaku na tle

werbla bębnow był pułkownik Britton, który w związku z tym wygłosił przez radio Londyn specjalne orędzie premiera Churchill'a, powtórzone w ciągu niedzieli w sześćdziesięciu językach.

Podbiwszy Londyn, zwycięski symbol ruszył na podbój świata. W ciągu kilku dni obiegł całe olbrzymie Imperium Brytyjskie, zadomowił się w nim zyskując poklask i entuzjazm mas. Przedostał się na terytorium Ameryki Północnej i Południowej - we wtorek 22.VII.br w portach amerykańskich olbrzymi znak "V" wymalowany w nocy olejną farbą, ukazał się na kadłubach wszystkich statków, stojących w portach. Tajemnicza ręka malując znak, nie pominęła również statków niemieckich. W Peru, Boliwii, Urugwaju, Argentynie, Brazylii widniejące wszędzie "V" stało się hasłem dnia. W U.S.A. znak rozpowszechnił się lotem błyskawicy.

Goebbels jest bezradny wobec tego żywiołowego porywu propagandy antyniemieckiej w świecie. Niemcy zapewne spróbują sparaliżować jej skuteczność - jakim sposobem, zobaczymy. Należy wątpić, czy uda im się obmyślić skuteczny sposób udaremnienia magicznego działania znaku, który w ciągu trzech dni obiegł świat i przyczynia się psychicznego uodpornienia mas ludzkich, tworzących olbrzymi, zwarty, światowy front antyniemiecki.

(B. Inf.)

P I A T A K O L U M N A

Kapitan armii holenderskiej Piotr Jonsen umieścił w jednym z czasopism angielskich artykuł, wyjaśniający przyczyny niezwykle rychłego w przeciągu dwóch dni, zdobycia przez wojska niemieckie fortu Eben-Emale, który przygotowany był na znacznie dłuższy opór. Fort ów znajduje się w pobliżu kanału Alberta.

Należy się cofnąć aż do roku 1899, w roku tym rząd belgijski rozpiął konkurs na wykonanie prac przy kanale Alberta. Pewna firma niemiecka w

Düsseldorfie nadesłała wyjątkowo tania ofertę, która została przyjęta.

Niemal wszyscy robotnicy pracujący przy kanale byli Niemcami. Niekłótnicy z nich poślubili dziewczęta belgijskie i po ukończeniu prac osiedlili się w okolicy dotychczasowej roboty, poświęcając się rolnictwu, a zwłaszcza uprawie cykorji.

Cykorja składana jest w piwnicach wykuwanych w miękkim wapieniu okolicznych wzgórz. Piwnice owe tworzą podziemny labirynt, którym można iść

kilkadziesiąt mil w jednym i tym samym kierunku.

W tych piwnicach pracownicy rolnicy niemieccy spędzali wiele czasu. W miękkim kamieniu, dającym się krajać specjalnym nożem, wykopywanie dodatkowych tuneli to łatwa, a zwłaszcza nie hałaśliwa robota. Niezliczone kamieniołomy, wydrążone przez poprzednich kopaczy, mogły łatwo pochłaniać rumowiska i gruz gromadzący się z kopania nowych podziemnych korytarzy.

Przez wszystkie lata poprzedzające wojnę rolnicy niemieccy okrążyli podziemnymi przejściami cały fort Eben Emael. Rzecz przytym zrozumiała, że cykorja potrzebowała również wiele nawozu sztucznego, to też całe tonny takiego "nawozu" gromadzili robotnicy w piwnicach, i na długo przed wrześniem 1939r. wszystko było gotowe.

Ubiegłej wiosny nadszedł ów dzień pamiętny, tak wyczekiwany przez gor-

liwych robotników - dzień zbierania "plonu". Armia niemiecka napadła na Belgię. Jedno przesunięcie dźwigni, i oto nastąpił wybuch "nawozu", a całe odcinki fortyfikacyj wyleciały w powietrze.

Szturmowe oddziały niemieckie przedostały się do piwnic, przebiły ściany, by je połączyć z korytarzami prowadzącymi do fortu, i w ten sposób szybko znalazły się w obrębie fortu Eben Emael.

Zaatakowani z frontu, z tyłu, z boków i z góry, obrońcy fortu byli bezsilni wobec podziemnej napaści zbrojnej i poddali się wrogowi.

Niemcy przygotowywali wojnę precyzyjnie i dokładnie. Przygotowywali ją od dawna. Już od chwili położenia podpisu na warunkach zawieszenia broni.

(Gaz. Pol.)

R O Z M A I T O S C I

Samolot bombowy jest niewątpliwie najkosztowniejszą bronią nowoczesną i kto wie, czy nie najbardziej skomplikowaną. Podczas gdy silnik samochodu składa się z 1.800 części, silnik bombowca ma ich 11.000, a montowanie jego wymaga pięć razy więcej czasu niż silnika samochodowego. Przed wykonaniem 70 tysięcy części, z których składa się aparat myśliwski, trzeba przeprowadzić 6 do 8 tysięcy szkiców i pomiarów. Zmontowanie tych części stanowi bardzo poważną pracę. Do skonstruowania samolotu potrzeba z górą 120 tysięcy nitów.

ZBRODNIARZ WYNAŁAZCA BEZGŁOSNEGO SAMOLOTU

Korespondent "News Chronicle" donosi z Nowego Jorku, że Harry Kersten rodem z Los Angeles, dawny galernik, zasługujący na karę śmierci i zapisany kilkakrotnie w księgach policyjnych za różne przestępstwa, został w tych dniach wypuszczony na wolność dla umożliwienia mu pracy nad wynalazkiem, który zwrócił na siebie uwagę fachowców. Polega on na uczynieniu śmigła bezgłośnym, za pomocą specjalnego systemu zastosowanego do piasty. Kersten wpadł na pomysł tego wynalazku podczas odsiadki trzyletniej kary za kradzież, po czym udoskonalił pierwsze otrzymane wyniki. We wrześniu ubiegłego roku został ponownie uwięziony za kradzież z włamaniem.

NIEZNANI ŻOŁNIERZE WOLNOŚCI

Nazwę tę zastosować można śmiało do pilotów przewodników, przeprowadza-

jących okręty handlowe przez kanał La Manche, wytrwałym bowiem spełnieniem swych uciążliwych obowiązków przyczyniają się oni do zwalczania złych mocy.

Praca tych pilotów w czasie pokoju aczkolwiek ciężka i trudna nie daje się porównać z ich obecnymi skomplikowanymi czynnościami, kiedy trzeba umiejętnie lawirować wśródm m gęsto po kanale rozsianych, pamiętać trasę, dawniej wyznaczoną przez "boje", znaki żeglarskie, obecnie często usuwane, by nie służyły za cel wrogowi, odbywać każdą przeprawę w ciemnościach nocy, by uniknąć nalotów. Piloci owi żyją z dnia na dzień, w każdej chwili gotowi na wezwanie, nie ma mowy o wyspaniu się, o kąpielu, ani o żadnej rozrywce.

Dzięki ich czujności i umiejętności statki handlowe zaopatrzone w żywność mogą dobijać do wybrzeży Anglii, okręty z transportami wojskowymi mogą bezpiecznie kursować i wyładowywać w porcie ludzi, lub zabierać nowe transporty, które piloci przewodnicy wyprowadzają na pełne morze. Nie słyhać wśród nich skarg, nie widać niezadowolonych twarzy, wszystko dla dobra wspólnej sprawy, oto ich hasło.

x x x

Niemcy spotrzebiają z górą 300 wagonów papieru miesięcznie na druk "kart żywnościowych", którymi uszczęśliwiają nie tylko siebie, ale mieszkańców okupowanych krajów. Nic więc dziwnego, że z braku innych surowców na ten cel, wycinają polskie lasy.